NUMER 12. DNIA 22-go MARCA 1903 ROKU ROK XI

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WŁADYSŁAW ORKAN.

POMÓR.

POWIEŚĆ.

Pod rozłożystym bukiem, na kraju polanki spoczywaliśmy przy ognisku, dumając o wieczerzy. Stary Szymon siedział oparty plecami o pień grubego buka, a zaś dokoła ognia my młodzi. Nikto nic wiele nie mówił, bo się nam jeść chciało setnie i pomęczeni my też byli, jako że się trza było ułazić za wołmi niemało czasu po lesie, nim się je wszystkie pozganiało i zrachowało na noc; czekaliśmy jeno na Jaśka Sobótczynego, który o ziemniakach wiedział, gdzie były schowane, aby je odrachować i wsypać do ognia; on zaś pognał swoje woły na dalszą polanę, gdzie je zawierał do okołu, bo były bodliwe i baliśmy się je przez to ostawiać razem z naszemi w koszarze.

W tem leniwem czekaniu płynęła chwila za chwilą — z początku któryś słowo jakieś rzucił — „Nie widać go“ albo „Noc już“ — i słowa powpadały w mrok z bełkotem krótkim, jak ostre kamienie w wodę.

Nastało milczenie długie, przysiadające duszę niby zmora senna i cisze się poczęły zlatywać ku nam jak sowy, sadowiąc się nad głowami na gałęziach buka. Czuliśmy je, nie widząc, w pobliżu, i strach nam poza uszy szeptał dziwne słowa, aleśmy się tem krzepili w sercach, że Szymon stary przy nas, a i ogień dodawał nam śmiałości niemało. To też pilnie przyrzucaliśmy gałęzi, gdyśmy zauważali, że ogień poczyna słabnąć. Gałęzie, przeżerane płomieniem, skwierczały, dym się słaniał w różne strony, nim się w górę zabrał, iskry wylatywały aż ku ciemnym, rozgałęzionym szeroko konarom, kóre się rozpostarły ponad naszemi głowami doznaku tak, jak baldachim, bo i frendzle widać było po bokach świecące, a to z liści pozwieszanych, jasnych od płomienia i dygocących w górze od gorąca.

Czasem, gdy ogień przygasał, pojawiały się w kole światła długie, czarne skrzydła i migały, jakby je ktoś zwijał i roztaczał. Wtedy nam strach głośniej szeptał swoje dziwne słowa, mimowolnie przysuwaliśmy się bliżej do ogniska i dorzucaliśmy znowu do ognia gałęzi. A na Szymona pozieraliśmy, jak na ostatnią w jakim złym razie ucieczkę.

Noc wysuwała się pomału z wygłębionej roztoki i zalewała mrokiem polankę niedużą, która się też wnet oczom poczęła zatapiać i rozprzestrzeniać w ciemność. Koszar, jak cmentarz, majaczył na środku, a z przeciwległego kraju lasu patrzał, zaczajony w mroku, ogromnie czarny strach. Już ani oczu w tamtą stronę nie zwracaliśmy od ogniska. Natomiast często pozieraliśmy ku wzniesieniu, zwanemu Wyźnią halą, skąd spodziewaliśmy się Jaśka, że nadejdzie.

— Nie widać go...

— A tu już noc...

— Żeby go jeno jaki strach nie pojął...

I znów milczenie zaległo, jakby kto wieko od trumny zatrzasnął.

Wszystkim nam w sercach pomału uczyniło się tak ciężko, że jeno wzdychania różne odzywały się pomiędzy nami, a słowa nikt już nie umiał wydobyć.

Stary Szymon zasnął, widziało nam się, w zadumaniu; oczy otwarte miał, ale nigdzie nie patrzał niemi — tak się szkliły naprzeciw ognia w jego twarzy, jak grudki ziemi zmarzłej. Po twarzy chodziły mu blaski od płomienia, jak po nalepie glinianej. Z pod kapelusza spadały mu strączki białawych włosów na ramiona; a kapelusz miał szeroki z pozawijaną w górę strzechą, od starości już spłowiały, podobny tej hubie, która ponad nim widniała na buku. I tak siedział w znieruchomieniu, ni to śpiąc, ni dumając, jak ten pień przy drzewie, choć może więcej podobnym był do olbrzymiego grzyba. Czasem ciężko odetchnął, wtedy mu się pierś podnosiła razem z serdakiem i płaszczem, a wreszcie siedział w zadrewnieniu bez poruszenia, bez drgnienia i nawet oddechu jego nie słychać było.

Gdyśmy tak coraz bardziej grążyli się w ciszę, przyleciał ku nam raptem śpiew od Wyżniej hali:

„He — hej!.. ociec głód,
A zaraza matka,
Śmierć siostra rodzona,
Gorzałeczka żona...
. . . .
. . . ."

Dalszych słów nie mogliśmy dosłuchać, bo się nam przelękły serca, gdyśmy, trącani jeden przez drugiego, na Szymona spojrzeli. Wstawał zwolna, a w oczach jego i twarzy widać było strach przed czemś... Mimowolnie obejrzeliśmy się z trwogą poza siebie.

— Widzicie co? — spytało Szymona kilku.

Nie odpowiedział. Więc szliśmy wejrzeniami za jego oczyma i za nieduży moment dojrzeliśmy w mroku zbliżającą się wysmukłą postać.

— Jasiek idzie — szepnął któryś.

Rzeczywiście był to Jasiek, bośmy go już zdaleka po śpiewie poznali. Szymon ku niemu zwrócił się, gdy nadszedł i już bez strachu, ale z mocnem wzruszeniem zagadnął:

— Kto... kto cię nauczył tej śpiewki?

Jasiek się rozśmiał, ale nikto mu z nas nie zawtórzył.

— Dyć-eście wy ją śpiewali, jakeście raz z jarmarku pijani przyszli do wołów... nie pamiętacie?

Szymon na to nic nie rzekł, usiadł pomału na swojem miejscu i za chwilę, gdyśmy ziemniaki wsypywali w ogień, słyszeliśmy, jak szeptał, bijąc się w piersi: „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu..." — jakby się spowiadał pocichu przed słuchalnicą.

Potem, skoro się już przy ogniu spokój uczynił poprzedni, jakoby na usprawiedliwienie swego dziwnego zachowania się, począł cichawym głosem:

— Różne są pieśni śpiewane... Choć kto śpiewa, a nie wie, jaka ich uroda. Są pieśni jak puchy kwiatów, które powietrze roznoszą; są, jak nienaskie ptaki o dziwnem upierzeniu; są, jak dzieci płaczące rzewnie bez powodu; są inne, które pachną jak skoszone siano; są znowu, które jęczą jak jesienny wiatr, a są i takie pieśni, które przelotem straszą jak te kruki... wleką za sobą noc u czarnych skrzydeł...

Zapatrzył się posępnie w ogień — i znana nam już zaduma usiadła na jego czole. Poprzysuwaliśmy się nieznacznie ku niemu, potraciliśmy odechy — cisza nastała niezmącona — czuliśmy wszyscy, że się rozpocznie ciekawa, może i długa w swym ciągu opowieść...

Wystawa dzieł Jacka Malczewskiego

(SALON LATOURA).

...Malczewski-poeta jest w prostej linji spadkobiercą naszych wielkich poetów romantycznych. Treścią poezji jego ojczyzna. Ukochana bezgranicznie, umiłowana boleśnie, Ona w kajdany zakuta, jest jego natchnieniem. Jej bohaterstwo i męka — to „błędne koło“, w którem obraca się cała jego twórczość. A twórczość to w swoim rodzaju jedyna. Zespala ona w sobie przedziwnie idealną fantastyczność koncepcji z niezrównanym realizmem formy. Realizacja malarska poezji Malczewskiego, realizacja wskutek swej natury samej za ciasna często na pomieszczenie i wyrażenie zupełne treści wewnętrznej tego poety, dosięga szczytów artyzmu. Jako koloryt nieraz wiele do życzenia pozostawiająca, chociaż zawsze indywidualnie zajmująca, rysunkowo jest ona mistrzowska: Malczewski-malarz jest przedewszystkiem rysownikiem, a jako rysownik pierwszym dziś w Polsce tak, jak jest pierwszym poetą w naszem malarstwie współczesnem. A poezja jego nawskroś, narodowa, polska — równocześnie jest ogólno-ludzką, sięga w najgłębsze tajniki i zagadnienia sztuki i życia...

Z dwudziestu czterech okazów składająca się wystawa dzieł Malczewskiego, otwarta obecnie w salonie Latoura, jest pierwszą we Lwowie wystawą zbiorową wielkiego twórcy „melancholji“. Z braku miejsca rozejrzyjmy się w niej przynajmniej pobieżnie. Więc przedewszystkiem „Derwid“! Niewielki obraz, działający silniej, niż niejedno olbrzymie płótno. Królewski starzec, ślepy z rozwianym włosem, z amuletami na szyi i płaszczem książęcym na plecach a z rękami podniesionemi, jakby szukały strun zrabowanej harfy— widny tylko jako popiersie — występuje poprostu z ram, zdaje się być rzeźbiony pendzlem, przykuwa tragicznym swym majestatem. Po za nim rozpościera się pejzaż letni: dojrzały, w słońcu rozpłomieniony łan zboża, ciemne drzewo i kawał pogodnego błękitu. Mimowoli nasuwają się pamięci królewskie oktawy „Króla-Ducha“...

Dziwaczna kolorystycznie „Polonia“ rysunkowo jest arcydziełem. Wstrząsający to poemat, nie potrzebujący komentarzy: ta postać kobieca, tragicznie zrozpaczonym gestem zdająca się zatykać uszy na szczęk kajdan — w które na podwórzu więziennem okuto ręce trzech wynędzniałych, zbolałych postaci męskich. To Polska-męczęnnica, ukochana nadewszystko przez twórcę „Ellenai“ i ,,W kopalniach Sybiru“. Z dziejów jej martyrologji wyjął on również te dwa małe poematy, wstrząsające swym łzawym liryzmem, te dwa szkice zatytułowane „Na Sybirze“ i „Dzieci wygnańców“, obok których wiszący mały szkic pt. „Car jedzie! jest majstersztykiem ruchu i nastrojowej symboliki (na tle majaczących we mgle kopuł cerkiewnych stangret zatrzymał konie carskiego powozu, który otacza szary tłum rozstępujących i chylących się kornie zamiataczy ulicznych...). Głęboko zastanawiający swym poetyckim pomysłem kontrastu życia i rezygnacji, młodości i starości, przeszłości i teraźniejszości — jest obraz zatytułowany; „Starzec i Satyr“. Śliczny jest szkic, zatytułowany „Melancholja“, z motywem zawoalowanej czarnej postaci kobiecej, opartej o okno, przed którem w zadumie usiadł młodzieniec, przypominający znaną wielką „Melancholję“. Z pozostałych obrazów wymienić się musi dwa wyborne pejzaże z figurami: „Polska wiosna“ i „U źródła“, „Nimfa i Satyry“ (z „Parku“ krakowskiego), dalej znakomity portret prof. Leona Wyczołkowskiego, portrety Feliksa Jasieńskiego, Stanisława Przybyszewskiego, aktora Kamińskiego itd.

Piękną tę i niezwykle zajmującą wystawę uzupełniają godnie trzy obrazy Wojciecha Weissa, niezwykle utalentowanego młodego malarza krakowskiego. Są to: doskonały, niezwykle poważny i spokojny i pewny siebie po malarsku portret F. Jasieńskiego, śliczna główka Włoszki (pastel) oraz czarujący swym poetycznym czarem szkic pt. „Więdnące róże!“

A. C.

PRAWEM I LEWEM

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI: „PRAWEM I LEWEM" OBYCZAJE NA CZERWONEJ RUSI ZA PANOWANIA ZYGMUNTA III. WE LWOWIE 1903.

Po kilkuletniem milczeniu wystąpił autor „Patrycjatu lwowskiego" z nową pracą, obszerną i jak zwykle prace p. Łozińskiego, sensacyjny wypadek w kołach historyków stanowiącą. Jest to szereg szkiców obyczajowych, wyniesionych z pracowitego, a żmudnego przeglądnięcia przeszło 400 tomów Aktów grodzkich ziemi lwowskiej, halickiej i sanockiej, a więc całego Województwa Ruskiego, z wyłączeniem ksiąg ziemi chełmskiej, a to w okresie panowania Zygmunta III. Obraz, który roztacza autor przed czytelnikiem, niesłychanie już dla samej rzeczy ciekawy, staje się aż plastycznym w opowiadaniu p. Łozińskiego. — Zasuszone w tomach aktów dzieje, wypadki, ludzie i ich czyny, występują tak barwnie i żywo, że zdają się poruszać przed czytelnikiem, czuć i myśleć, tak jakby cały ten świat zmartwychwstał nagle i zaroił się od ludu buńczucznego a niesfornego, wrzaskiem prawa i niesprawiedliwości.

Dzieło całe składa się z ośmiu rozdziałów. Po ogólnej charakterystyce prawnych stosunków Polski za Zygmunta III., po charakterystyce czasów i ludzi, następują po koleji zdarzenia i szkice z ziemi lwowskiej, halickiej, przemyskiej i sanockiej, lwią część księgi zajmuje opis okrucieństw „Dyabła Łańcuckiego" — Stadnickiego, zakończenie zaś stanowią obrazy z życia współczesnego włościaństwa.

Rozdział pierwszy nosi tytuł „Prawem i lewem". Jestto staropolska maksyma procesowa, streszczająca się w tem, że gdzie sprawiedliwości nie daje prawo, tam wolno użyć kryminału i bezprawia. — Rozpoczyna się zaś od charakterystyki prawa polskiego. Prawa były dorywcze, niedostateczne, niestanowcze, niejasne i pełne niekonsekwencji, a przytem były b e z s i l n e. Dwa kardynalne warunki społecznego bytu, bezpieczeństwo życia i bezpieczeństwo mienia były zachwiane. Zabijano otwarcie i skrycie po domach, po drogach i rynkach miejskich, na sejmikach, zjazdach, bankietach, a nawet i sądach, a zabijano bezkarnie. Prawa przeciwko mężobójcom, łagodne bardzo, nigdy jednak nie były stosowane z tego powodu, że sprawy wybitnie kryminalne przychodziły na sądy królewskie, czyli sejm, zbierający się co dwa lata, który nie miał po prostu czasu sądzić je, a dalej zasada „*neminem captivabimus*" i brak urzędowego ścigania zbrodni ułatwiały znakomicie bezkarność zbrodniarzom. A nawet, gdy sprawa wytoczoną została przed sąd, to pozwanemu pozostawało zwykle tyle wybiegów, kruczków i środków przewłoki, że zwykle do wyroku dojść nie mogło.

Zapada wreszcie wyrok prawomocny. A więc według stopnia przewinienia: miecz, wieża, banicja i infamja. Kto go miał wykonać, kto miał pojmać winowajcę i zniewolić go do ekspiacji, skoro władzy wykonawczej, tak jakby nie było? Kara śmierci bardzo rzadko zdarzała się w Polsce — oczywiście mowa tu o szlachcie, bo chłop szedł za byle kradzież wołu na szubienicę, a miasta nadużywały miecza na mocy swego okrutnego prawa magdeburskiego — chyba, że winny ścigany był prawem przez bardzo możnego oskarżyciela, chyba, że był bardzo mizernym, nieosiadłym szlachetką.

Wieża uchodziła za bardzo ciężką karę. Winowajca siedzieć miał *in fundo,* na samem dnie wieży, w takiej głębokości, że od podłogi do okna miało być 12 łokci odległości. Była opinja, że gdyby tak siedział mężobójca jako ma siedzieć, rzadkoby który wyszedł żyw z wieży. Ale tak nie było: podstarościowie i burgrabiowie czynili więźniom najrozmaitsze ulgi i ustępstwa.

Gdy chodziło o zniewolenie kogoś do zadośćuczynienia prawomocnemu wyrokowi, musiała się zająć tem strona, a tak egzekucja dekretu przechodziła w ręce prywatne. — Starosta był wprawdzie organem wykonawczym, ale nie było bezczynniejszej władzy nad starościńską, bo zresztą miał on przeciw sobie setki szabel niesfornej szlachty.

Kiedy nareszcie chodziło o konieczne wykonanie wyroku siłą urzędową, kończyło się na tem,

że przy pomocy jakiejś błędnej chorągwi, wałęsającej się po kraju, po zebraniu zgraji luźnego hajductwa i owych obszarpańców szlacheckich, ochrzczonych nazwą *golotae et odardi* (ogołoceni i obdarci) wyruszała wyprawa, podobna raczej do wszystkiego innego, aniżeli do prawowitej egzekucji. Najprędzej jeszcze mógł być wyrok wykonany przy pomocy dobrowolnego kompromisu między stronami.

Ten sam brak władzy wykonawczej, przy zawiłości prawa, którego nikt nie umiał, sprawiał, że nie było także bezpieczeństwa mienia. Procesy nie miały końca. Szły w fatalnym spadku z pradziada na prawnuka, bywały dziedziczną klątwą rodzin. Intromisja wywalczonej sumy lub posiadłości w rzadkich tylko wypadkach przychodziła do skutku przy pomocy woźnego, typu znanego już z „Pana Tadeusza“, a do którego charakterystyki dorzuca p. Łoziński na podstawie aktów, mnóstwo ciekawych, a charakterystycznych szczegółów. Dowiadujemy się stamtąd, że woźny miewał przy lewym boku szablę z kagańcem, a przy prawym torbę sarnią, *seu capsam*, w której prócz papierów miał „czarną juchę“ na posiłek w podróży, że lubił się bawić „w hultajskiej gospodzie“, zaglądać do kieliszka, że pod hasłem „pal bracie, aby do mnie!“ *multos quatircas et półgarnczków* gorzałki *ebibit*, że grywał w karty i kości *ante stajniam cum masztalerzibus* itd. same szczegóły, które niezbyt pochlebne dają wyobrażenie o obyczajach i gustach tego sługi prawa.

Scharakteryzowawszy w ten sposób stosunki prawne, przechodzi autor do „stosunków lewych“ czyli bezprawia, którem dokonywano z nadużyciem tego, czego dać prawo nie mogło. — Omawia więc „odpowiedzi“ czyli pisma, które szlachcic przesyłał szlachcicowi, wypowiadając mu walkę na śmierć lub życie, zajazdy i krwawe odwety, ilustrując wszystko przykładami z aktów. — Straszny to rozdział książki p. Łozińskiego, a jedyną w nim pociechą, że rzeczy tam opisane działy się w stokroć nawet gorszej formie w całej współczesnej Europie, że bądź co bądź akta dostarczają materjału, którego generalizować nie można, że wreszcie fakty okrutne działy się na wielkiej przestrzeni miejsca i czasu, a ostatecznie naród nasz złożył dowód niesłychanej siły żywotnej, kiedy w tego rodzaju warunkach nie tylko żyć potrafił, ale nawet i wojny wygrywać.

Na tem kończy się pierwszy rozdział dzieła p. Łozińskiego.

Sienkiewicz w Rumunji.

Przed tem, nim „Quo Vadis“ europejskie powodzenie miało, znakomity nasz powieściopisarz mało był w Rumunji znany, jak w ogóle literatura polska i zwłaszcza współczesna. Niemniej jednak już przed dziesięciu laty były tłumaczone (z niemieckiego) w dzienniku „Adèvèrul (Prawda)“ „Szkice węglem“. W tymże czasie „Janko Muzykant“ trzy razy był przełożony, w „Adeverulu“, w „Munca literara (Praca literacka)“, a następnie w czasopiśmie prowincjonalnem „Gorż“. W innem zaś piśmie prowincjonalnem, wydawanem w Turnu Sewerynie drukowano „Bartka Zwycięzcę“, jeśli się nie mylę, w przekładzie p. Isaiłowicza podług tłumaczenia francuskiego. Tłumacz wszakże, Serb z pochodzenia, miał i oryginał polski pod ręką —

było to tłumaczenie dobrze opracowane. Jednocześnie, znany dzisiaj badacz historyczny, Alexander Stefulesku w miesięczniku prowincjonalnym „Zin“ (wydawanym w miasteczku Tàrgu-Zin) dał ładne tłumaczenie: „Bądź błogosławiona“*) Skoro wszakże sława Sienkiewicza w Europie urosła, a zwłaszcza skoro dzieła jego na język francuski przełożono, zaczęto je i tutaj tłumaczyć. Pierwszeństwo miało naturalnie „Quo vadis“. Drukowano w odcinkach dwu gazet codziennych „Apararea Nationala (Obrona Narodowa“) i „Secolul XX (Wiek 20.)“ — oba tłumaczenia niezmiernie liche i oba podług niekompletnego wydania francuskiego. Następnie także w ‚Apararea Nationala“ ukazało się „Pójdź za mną“ cokolwiek staranniej, ale zawsze nie szczególnie tłumaczone. W tymże czasie starannie redagowany dziennik nacjonalistyczny „Romania Juna (Młoda Rumunia) zamówiła — o ile wiem — tłumaczenie „Quo Vadis“ z oryginału, ale pismo to niespodziewanie upadło i zamiar nie przyszedł do skutku, osobne zaś wydanie takiego tłumaczenia było niemożebne, wyszedł był bowiem właśnie w dwutomowej odbitce przekład z „Apararea Nationala“. Wydanie to ma okładkę kolorową, bez artystycznej wszelakoż wartości — przekład gazeciarski trochę wygładzono, ale pozostał on zawsze nie kompletny i nie literacki. Prócz tego dziennik „Secolul XX“ dał tłumaczenie znowuż arcyliche „Rodziny Połanieckich“, „Apararea“ wydrukowała „Krzyżaków“ z niemożliwemi skróceniami, a pismo codzienne „Epoka“ przełożyło w odcinku „Ogniem i Mieczem“, ale jest to przekład poprostu już haniebny, w którym dość często ustępy całe są absolutnie niezrozumiałe.

Z przekładów więc rumuńskich większych dzieł Sienkiewicza jedno tylko wydanie książkowe „Quo Vadis“ jako tako wypadło, reszta zaś tłumaczeń ani Sienkiewiczowi, ani zwłaszcza publiczności rumuńskiej żadnej nie oddało usługi i o wiele zrobili lepiej ci, co utwory znakomitego naszego ziomka w tłumaczeniach obcych czytali. Zwłaszcza po francusku wielu go czytało. Witryny księgarń bukareszteńskich w swoim czasie pełne były wydań francuskich dzieł Sienkiewicza.

O ile wiem tłumaczono też autora „Quo Vadis“ w Siedmiogrodzie, istnieją tam zdaje się drobniejsze jego utwory i w osobnych wydaniach (Księgarni Czurku w Kronsztadzie), nie mogłem wszakże o takowych dokładniejszych zebrać wiadomości. *P.*

*) Tłumaczył on też „Pieśń świata“ Prusa. W miesięczniku „Zin“ drukowano też J. Ochorowicza „Z epoki kamiennej“ w przekładzie Alex. Kaczanowskiego oraz przeróbkę z „Cogito ergo sum“ z „Prawdy“ 1880 A. Świętochowskiego, tygodnik zaś „Gorż“ oprócz „Janka Muzykanta“ dał jeszcze „Pauzanijasza“ Okońskiego, który i uprzednio był tłumaczony w czasopiśmie „Contimparanul“ w Jasach.

„PANOWIE DZIECI“.

Do jednej z najgłośniejszych i najcenniejszych prac Ernesta Legouvé, o śmierci którego donoszą telegramy należy książka p. t. „Ojcowie i dzieci w XIX wieku“. Dziełko to w swoim czasie było z entuzjazmem przyjęte przez społeczeństwo francuskie, a przetłómaczone na języki obce obiegło całą niemal Europę. Po polsku wyszło ono w r. 1874 w przekładzie p. Jadwigi Trzcińskiej; cieszyło się u nas powodzeniem i było czytane przez ówczesną inteligencję, wywierając na nią szeroki wpływ. Zalety jego stanowiły: szczerość, prawość, rozum i duch obywatelski, którym było owiane. Dzięki temu i dziś, po latach trzydziestu nie utraciło ono swego znaczenia, a rodzice i wy-

chowawcy zawsze w nim znajdą materjał do rozważań i niejedną myśl prawdziwie współczesną.

W tym wieku, w którym wszystko się odradza, pisał między innemi Legouvé, nie znam ważniejszego przekształcenia nad to, które dotyczy stosunków pomiędzy ojcami i które dotyczy stosunków pomiędzy ojcami i dziećmi w nowożytnem społeczeństwie. Dziś dzieci zajmują daleko wybitniejsze, niż dawniej, stanowisko w rodzinie: więcej z niemi i więcej dla nich żyjemy. Czy wskutek przezorności i przywiązania, czy też wskutek powolności i osłabienia władzy, więcej zajmujemy się ich zdrowiem, więcej czuwamy nad ich edukacją więcej myślimy o ich dobrobycie i więcej słuchamy ich zdania. Stały się one prawie głównemi osobami w domu, a pewien dowcipny człowiek scharakteryzował ten fakt jednem wyrażeniem: „Panowie dzieci" *(Messieurs les enfants)*. Dobre to? Czy złe? Jestem głęboko przekonany, iż znajdujemy się na dobrej drodze i że idziemy ku dobremu. Wierzę, że dziś tak rodzina, jak i społeczeństwo, dąży do celu wzniosłego, moralnego, zastosowanego do godności człowieka i zamiarów Boga. Wszelki jednakże postęp nieodzownie w swych początkach łączy się z zamieszaniem i nadużyciem, a jeżeli powtarzam to wyrażenie: *Panowie dzieci* — to jedynie dla tego, że ono dosadnie charakteryzuje obie strony tej kwestji, jaka dziś się rozstrzyga. Wypowiada ono wszystko — złe i dobre.

Tak! *Panowie dzieci* — to owe biedne trzy lub czteroletnie istotki, osłabione pielęgnowaniem i pieszczotami, owe małe, siedmioletnie chłopczyki, samoluby, tyrany, łakomcy, panowie domu; to mali, dwunastoletni uczniowie wstępujący poważnie z papierosem w ustach na schody kollegium, ci siedmnastoletni młodzieńcy, rozprawiający ze swymi ojcami i nie uginający się ani przed wiekiem, ani przed wyższością. Ale — *Panowie dzieci,* to także istoty słabe, wzmacniane przez wychowanie czułe, a zarazem męskie, przez wychowanie, które zabezpiecza i hartuje, to charaktery formujące się, badane z nieustanną i przezorną troskliwością, to umysły, zaledwie przebudzone i rozwijające się pod podwójnym wpływem matek i nauczycieli, to uczniowie, którzy zostawszy uczniami, nie przestają być synami i zachowują w koleżeńskiem życiu ślad życia rodzinnego to młodzieńcy, uważani za przyszłych ludzi...

Doprawdy, warto, aby i dzisiejsi rodzice pamiętali o tem i wychowywali „przyszłych ludzi" w kierunku i w zasadach, które tak pięknie i mądrze wyłożył Ernest Lehouvé.

Z. D. (Gaz. Pol.)

Urywki.

Ani odgadnąć, ani zliczyć niepodobna i szkód i strat, zrządzonych twórczości umysłowej przez zaniedbywanie czystości i podniosłości moralnej, przez niedostateczne filtrowanie potoku uczuć, woli i przyzwyczajeń twórców. Gwiazdy, gdy raz zabłysną na niebie, przeświecają się w każdej wodzie, lecz jakże różnem jest ich odbicie w fali morskiej, w szybie jeziora, we wstędze górskiege potoku, w błotnistej rzeczułce, w kałuży.

Jak gwiazdy, tak twórcze natchnienia są wielkości różnej, lecz czyliż odbicie najdrobniejszej z asteroid w morzu lub górskim potoku nie jest świetniejszem, piękniejszem, pełniejszem drgań i blasku, niż Syrjusz w rzeczułce, zasiedlonej przez żaby, lub w kałuży, zmąconej przez tłuste cielsko wieprza?

Eliza Orzeszkowa.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Sprawozdanie z kongresu przeciw alkoholizmowi.* Niedawno pojawiło się w języku niemieckim spóźnione, jak to zazwyczaj bywa z księgami pamiątkowemi, sprawozdanie z VIII. kongresu międzynarodowego przeciw alkoholizmowi, odbytego w kwietniu 1901 r.

Jest to spore dzieło, obejmujące 590 stron druku i reprodukujące dosłowny tekst wszystkich referatów kongresu tudzież przebieg dyskusji. Znajdujemy tam rozprawy uczonych światowej sławy o zgubnem działaniu alkoholu na różne narządy ustroju ludzkiego, na umysłowe funkcje i na potomstwo. Dalej — wyniki statystycznych badań, dowodzące, że alkohol, używany stale, nawet w miernej ilości, skraca przeciętne trwanie życia ludzkiego. W końcu prof. Löffler omawia stosunek alkoholizmu do przekroczeń i zbrodni. Są też referaty, odnoszące się do alkoholizmu w poszczególnych krajach austrjackich, między innemi odczyty p. dr. Daszyńskiej-Golińskiej i dr. Jarosiewicza o stosunkach galicyjskich. Znaczna część prac zajmuje się środkami zapobiegawczymi przeciw alkoholizmowi i rozbiera zadanie w tym względzie szkoły, kobiet, duchowieństwa, lekarzy, towarzystw, związków robotniczych. Zwrócono też uwagę na sprawę monopolu alkoholowego.

Tak więc sprawozdanie to z kongresu antialkoholowego, ogarniając całokształt zagadnienia, może służyć za naukowy podręcznik w kwestji alkoholizmu i dostarcza obfitego materjału do gruntownego zapoznania się z tą sprawą, mającą pierwszorzędne znaczenie. Dla celów praktycznych, dla bezpośredniej walki z nałogiem zgubnym, byłoby daleko ważniejszem popularyzowanie rozpraw kongresu w jakiemś dziełku ludowem i rozpowszechnienie takiej książki między ludem. Podobne prace ukazały się wprawdzie po kongresie w naszem piśmiennictwie, lecz, nie wyłączając nawet cennej rozprawki p. dr. Zofji Daszyńskiej-Golińskiej, nie są one zastosowane do pojęć ludu wiejskiego.

PISMA. *„Teka polskich grafików“*, wydana w Krakowie staraniem Feliksa Jasieńskiego, rozesłaną już została prenumeratorom (120 egzemplarzy, z których 20 wydanych wytwornie z podpisami własnoręcznymi artystów) i znajduje się obecnie obok wystawy J. Malczewskiego w Salonie Latoura. Pierwsze to polskie wydawnictwo zbiorowe z zakresu sztuk graficznych przedstawia się wspaniale i budzi powszechne zainteresowanie. „Teka“ składa się z 20 plansz (wydanie wytworne z 23). Figurują w niej następujący artyści: Jan Matejko (litograficzna kopja Stańczyka), Chełmoński (dwie autolitografje: „Matka“ i „Główka“), Malczewski („Głowa starca“ i portret Feliksa Jasieńskiego autografje), Wyspiański (Helenka — fluroforta; jest to zupełnie nowa technika graficzna wynalazku dra Tadeusza Estreichera), Wyczółkowski, Axentowicz Józef i Stanisław Czajkowscy, Łopieński, Mehoffer, Pankiewicz, Procajłowicz, Ruszczyc, Stanisławski, Tichy, Trojanowski i Weiss. Akwafortę reprezentuje wspaniale Pankiewicz. Nakład „Teki“ już wyczerpany. Litografje odbijano przy współudziale artystów w zakładzie A. Pruszyńskiego w Krakowie. Akwaforty — w zakładach artystycznych braci Łopieńskich w Warszawie. *A. C.*

NOTATKI. *Przewiezienie zwłok Kollara do Pragi.* W Pradze odbędzie się niebawem wielka uroczystość: przewiezienie z Wiednia do Pragi zwłok wielkiego slawisty, piewcy „Cór sławy“, Jana Kollara. Było od dawna gorącem życzeniem Czechów, aby pierwszy apostoł idei braterstwa miedzy sławianami, spoczywał nie na ziemi niemieckiej, ale ojczystej. Przywiezienie było koniecznem, ile że popiołom Kollara groziło niejednokrotnie niebezpieczeństwo: głosiciele pyszałkowatego hasła o „wyższości“ kultury niemieckiej, usiłowali już kilka razy zbeszcześcić i rozwalić mogiłę słowiańskiego pieśniarza. Dzięki zabiegom dr. V. Ryby, wnuczki Kollara, zezwoliły na ekshumację, a praska Rada miejska wyraziła gotowość poniesienia wszelkich kosztów, jakich przewiezienie z Wiednia i pogrzeb będzie wymagał. Kollar będzie złożony na cmentarzu Oskańskim, obok Szafarzyka i miejsca gdzie spoczną zwłoki Palackiego, który pochowany jest w Lobkowicach.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.